

Marian Hemar

Nie nazwane święto
(fragment)

Znowu do mnie powrócił w tej zjawie promiennej
Ostatni dzień wolności, w Polsce przedwojennej.

Ostatni dzień, gdy byliśmy w domu, u siebie.
Ostatni dzień pokoju. Gdy słońce na niebie
błysło taką ulewą złota i gorąca,
jakby chciało w ostatnim dniu tego miesiąca
pożegnać nas uśmiechem, który pozostanie
w pamięci tym piękniejszy, że na pożegnanie,
i grzać nas, oświecić na zapas, na wszystkie
lata mrozu i mroku, tak już wtedy bliskie.

Na wszystkie dni niewoli, ciemności i głodu,
co już ku nam szły wtedy, z zachodu i wschodu.
Jakby ono wiedziało, błyszczące w błękicie,
że za dwanaście godzin, o następnym świcie
już je dymem zasłoni wichry powietrznej trąby,
i kurzem je splugawi wybuch pierwszej bomby,
i niebem się przetoczy pierwszy strzał armatni
i przyjdzie mrok niewoli.

O, piękny, ostatni
dniu miasta, w którym jeszcze nie powstała noga
zachodniego najeźdźcy i wschodniego wroga...

Marian Hemar

Rocznica

To już dwudziesta rocznica
 Konferencji jałtańskiej.
 To wtedy umierający
 Prezydent amerykański
 Co był już tylko cieniem
 Swej mocy, chwały i wiedzy
 I pióro jemu w rękę
 Wodzili sowieccy szpiedzy,
 A on wychudły i zgasły
 Siedział wśród sowieciarzy
 I już miał pustkę w głowie
 I już śmierć na twarzy -
 A z nim brytyjski premier
 Który miał tylko w duszy
 Jeden strach, jedną grozę,
 Że się w kawałki kruszy
 Imperium wyniszczone
 Daremnym wojennym trudem,
 Że skarb ma pusty i w długach,
 Że Londyn w gruzach, że cudem
 Jeszcze się wszystko nie wali,
 Jeszcze się kupy trzyma,
 Ale już trzeszczy, co tylko
 Jedno miał przed oczyma,
 Że Indie, że Australia -
 Że Afryka Południowa -
 Że deficyt - że Suez -
 Gdzie spojrzeć, pęka głowa
 I w oczach się rozłają
 Szwyy odwiecznego ustroju,
 O tym myślał, o niczym
 Innym - w takim nastroju
 Oni dwaj, wtedy, w Jałcie
 Usiedli do pokera.
 A za partnera mieli
 Zawodowego szulera.

A on był trzeźwy i krzepki
 I zimny, jak z kamienia,
 I wszystko miał do wygrania
 A nie miał nic do stracenia,
 Bo jakby nawet przegrał,
 To też nic by nie stracił,
 Bo by go na kolanach
 Błagali, by im nie płacił,
 Ale wiedział, że wygra
 Bez żadnej awantury,
 A oni mu, jeden z drugim,
 Na siłę zapłacą, z góry.
 Grał z nimi w znaczone karty,
 Na pewniaka, bez lęku,
 Zanim się odezwali,
 Wiedział, co który ma w ręku.
 A oni nie wiedzieli,
 Że on nic w ręku nie ma,
 Że bluffuje ich "streetem",
 Albo parkami dwiema,
 Że ich w pole wywodzi,
 Że ich w kółko tumani,
 A z tyłu za nimi stali
 Jego kibice szczwani
 I umówione sygnały
 Mrugali do szachraja.
 A on, patrzcie, filuje
 I już stawki podwaja
 I tylko się na dwie strony
 Uśmiecha jak bazyliśzek
 I zgarnia te fiszki.
 A Polska jest jedną z fiszek.
 A jedną fiszką zieloną
 Co się na stole mieni
 Jest Lwów. Patrzcie! Przegrali.
 Schował ją do kieszeni.

A jedną fiszka zieloną
 Na zielonym stoliku
 Jest Wilno. Patrzcie! Przegrali.
 I nie ma o to krzyku.
 Grają jak dżentelmeni,
 Towarzystwo niedbali.
 A jedną fiszka żółtą
 Jest Borysław - przegrali!
 A jedna fiszka, która
 Na suknie różowieje,
 To polskie zaufanie,
 To są polskie nadzieje,
 To ofiara co jeszcze
 W zgliszczach Warszawy się pali
 I w nozdrzach świata wierci
 Dymem - patrzcie! - przegrali.
 A ten Stalin, faktycznie,
 Gra jak w natchnionym widzie,
 Wprost nie do uwierzenia,
 Jak jemu karta idzie!
 A teraz kupa fiszek -
 Kupka wszystkich wolności,
 Wolność od strachu, wolność
 Pogardy i miłości,
 Wolność prawa i słowa
 I wiary i sumienia
 I wyborów do sejmu
 I samostanowienia,
 Wolność od obcych wpływów
 I własnych zdrajców-kanalii,
 I narzuconych rządów -
 Patrzcie! - znowu przegrali.
 A ta fiszka - to Karta
 Atlantyckiemu słowu
 Powierzona na morzu -
 Patrzcie - przegrali znowu!

Karta, kiedy się uprze,
 Zawsze jednemu wali,
 Krymski świt świecił w oknach,
 Gdy od stolika wstawali.
 Wiatr w kolorowych flagach
 Igrał w morskiej przystani.
 Oni grali w pokera,
 A my gorzko przegrani.
 Nie ma już dziś żadnego
 Z tej jałtańskiej partyjki.
 Zabrali z sobą do grobu
 Swe bluffy, licytacyjki,
 Umizgi i uśmieszki,
 Niedopite kieliszki,
 Niedopalone cygara
 I brudne karty i fiszki.
 Zostawili po sobie
 Pamięć nieszczęsnej zimy
 I przegraną, za którą
 My wciąż jeszcze płacimy
 I będziemy dopóty
 Płacili, za cudzą winę,
 Aż nam historia kiedyś,
 Ziści marzenie jedyne,
 Spełni jedyną prośbę,
 Jedyne życzenie, które
 Brzmi tak: Jeżeli kiedyś
 Grać przyjdzie o własną skórę,
 Jeżeli my będziemy
 W grze tej stawką nie na zabawkę,
 Abyśmy mogli wtedy
 Sami grać o tę stawkę.
 Grać sami o własną skórę,
 Gdy w nią ugryzie giez nas,
 A nie, jak w Jałcie, by obcy
 Znów grali o nas - bez nas.

Stefan Petrowicz

Fragment "mojego" września 1939 r.

Wieś Myszków w pow. zaleszczyckim - to miejsce mego urodzenia. Okolice Myszkowa znane są m. in. z uprawy drzew owocowych i winorośli, pięknych krajobrazów i głębokich jarów.

Mój ojciec, agronom-dublańczyk, pracował w okolicznych majątkach ziemskich w charakterze ich zarządcy: w Kutyskach, Płotyczu i Myszkowie. Do gimnazjum uczęszczałem w Buczaczu, a Szkołę Podchorążych Rezerwy ukończyłem w 12 Dywizji Piechoty w Tarnopolu, której dowódcą był gen. bryg. Gustaw Paszkiewicz. Praktykę wojskową odbyłem natomiast w 51 pułku piechoty w Brzeżanach nad Złotą Lipą - mieście, które powstało jeszcze w 1530 roku, pełne było wspaniałych pamiątek po słynnym - nie tylko na Podolu - rodzie Sieniawskich i znane z walorów krajobrazowych.

Tak więc jestem z krwi i kości Podolakiem.

W 1939 roku pułk nasz wcześniej zakończył manewry i z końcem sierpnia powrócił do koszar. Nie prowadzono już żadnych zajęć szkoleniowych, żołnierzy zatrudniano jedynie przy pracach porządkowych. Dowódcą pułku był ppłk Emil Fieldorf.

Pod koniec sierpnia 1939 r.¹ udałem się z kolegami do kina. Podczas seansu przybył tu żołnierz by zameldować o zarządzonym w pułku alarmie. Natychmiast wróciłem do koszar, gdzie na placu zbiórki zastałem już wojsko w pełnej gotowości. Wśród żołnierzy wyczuwało się zdenerwowanie i niecierpliwe oczekiwanie na dowódców - plutonów, kompanii i batalionów, którzy znajdowali się na odprawie u dowódcy pułku². Po ponad godzinnym oczekiwaniu pojawił się adiutant dowódcy, który wydał rozkaz rozejścia się do sal, a podoficerom i podchorążym zamieszkałym na terenie koszar - spakowanie wyjściowych mundurów oraz zbędnych rzeczy osobistych i zdanie do magazynu.

Na teren koszar przybywali zmobilizowani rezerwiści, a żołnierze czynnej służby wyjeżdżali na front, błogosławieni przez duchownych swoich wyznań - co odbywało się uroczyście na placu ćwiczeń³.

O wybuchu wojny z Niemcami dowiedziałem się 1 września rano z pobliskiej piekarni, w której zaopatrywałem się w białe pieczywo. Ze strony

¹ Był to z wszelką pewnością dzień 27 sierpnia (przyp. red.)

² Dowódca wydawał w tym czasie rozkaz mobilizacyjny, ustalając termin mobilizacji pułku na godz. 23.00 (przyp. red.).

³ 51 pp odjechał ze stacji kolejowej Brzeżany 3 i 4 września, zgodnie z planem mobilizacyjnym, do miejsc koncentracji Armii "Prusy", odwodu Naczelnego Dowództwa (przyp. red.).

dowództwa nie było komunikatu o napadzie wojsk niemieckich na Polskę⁴.

W kilka dni po wybuchu wojny ludność miasta manifestowała na rzecz wojska, Marszałka Rydza-Śmigłego i naszych sojuszników - Francji i Anglii.

W trzecim dniu wojny otrzymałem rozkaz udania się z moją drużyną do pobliskich wiosek, aby zabezpieczyć sprawne działanie specjalnej komisji rekwirującej konie i furmanki dla pułku. Trwało to kilka dni.

Po powrocie do koszar zostałem wcielony do nowo uformowanego batalionu⁵, z którym opuściłem Brzeżany. Maszerowaliśmy przeważnie nocą, od Złoczowa także dniem, bo samoloty niemieckie nie pojawiały się już tak często. Droga zatłoczona była uciekinierami, co utrudniało sprawny marsz. Wycofujące się z linii frontu (pod Lwowem) liczne formacje wojska polskiego mieszały się z naszymi pododdziałami, udającymi się w kierunku Monasterzysk.

Na niektórych odcinkach drogi otrzymywałem zadanie ochrony mostów i linii telefonicznych przed szerzącą się dywersją ze strony ludności ukraińskiej i osób będących na usługach Niemiec hitlerowskich.

Przed Monasterzyskami nocowaliśmy w jakiejś wiosce. Wczesnym rankiem obudził mnie żołnierz; zobaczyłem przewrócone i zniszczone tabory i kuchnie polowe. Nie widziałem już wśród nas oficerów i starszych stopniem podoficerów. Wielu żołnierzy opuściło swoje oddziały, zapanowała dezorientacja. Z kilkoma żołnierzami udałem się do Monasterzysk, gdzie pod budynkiem monopolu tytoniowego poszedł do mnie cywil i poinformował, że wojska sowieckie przekroczyły granicę Polski, zajęły wiele miast i wsi, w tym Buczacz, do którego właśnie zamierzałem się udać. Cywilem tym był rolnik-kolonista Jan Król, mieszkający z rodziną w pobliżu Monasterzysk. Zaproponował mi schronienie się w jego domu. W tej krytycznej sytuacji skorzystałem z zaproszenia.

O świcie następnego dnia obudziły nas strzały z broni maszynowej, dochodzące z pobliskiego lasu. Tegoż ranka, w mocno zużyтым ubraniu cywilnym pana Króla, udałem się do rodziny ojca w Buczaczu, pozostawiając broń i mundur u mego wybawcy. Droga do Buczacza była uciążliwa i niebezpieczna, gdyż poruszały się po niej dwie kolumny wojsk sowieckich i wielu Ukraińców z przydrożnych wiosek.

Przez kilka dni, przeważnie nocą, NKWD penetrowało domy w poszukiwaniu ukrywających się oficerów i żołnierzy Wojska Polskiego. Polacy w mieście i okolicy udzielali żołnierzom pomocy, ukrywając ich i przebierając w cywilną odzież.

W połowie października pożegnałem się z rodziną ojca i wyjechałem do Sokala, gdzie wówczas mieszkali moi rodzice.

Dla Kresowiaków nadeszły teraz ciężkie czasy bolszewickiej okupacji, a od połowy 1941 r. także okupacji hitlerowskiej, w czasie których doznaliśmy

⁴ Bowiem oddziały pułku opuściły koszary w nocy z 27/28 sierpnia i udały się do rejonów alarmowych (przyp. red.).

⁵ Ze zmobilizowanych rezerwistów (przyp. red.).

wielu okrucieństw ze strony okupantów, jak też grasujących band ukraińskich nacjonalistów.

Sokal - powiatowe miasto nad rzeką Bug, należało już do woj. lwowskiego. Słynęło z fabryk maszyn i kotłów parowych oraz tkanin wełnianych. Przeważającą część mieszkańców w powiecie stanowili Ukraińcy i Białorusini. Okoliczna ludność zajmowała się głównie rolnictwem.

Był rok 1944.

W okresie okupacji niemieckiej Sokal należał do Generalnego Gubernatorstwa, a granica powiatu sięgała m. in. po Wołyń; gdzie już w 1943 roku grasowały bojówki ukraińskich nacjonalistów. Niemcy udzielali im cichego poparcia i podsycali nienawiść do Polaków.

W 1944 roku prawie każdej nocy widać było od strony Wołynia łuny pożarów. Była to działalność banderowców, którzy obejmowali swym zasięgiem nawet tereny Sokalszczyzny.

Dwa razy udało mi się uniknąć śmierci z ich rąk. Pierwszy przypadek miał miejsce w gospodarstwie rolnym (Liegenschafcie) Michałówka, gdzie pracowałem w charakterze rachmistrza. Folwark położony był w szczerym polu, a jego zabudowania przylegały do jednej strony lasu graniczącego z Wołyniem. Wśród pracowników folwarku tylko jedna rodzina była polska, pozostali byli Ukraińcami. Nacjonałści głosili wówczas hasło: "Abo bude Ukrajina, abo krow Lachiw po kolina".

Pewnej majowej nocy kilkunastu uzbrojonych banderowców napadło na folwark. Kilku weszło do budynku, w którym mieszkałem. Obudziły mnie głośne głosy w języku polskim i ukraińskim. Usłyszałem wołanie: "pane buchalter, wstawajcie! Otwierajcie dweri, bo wywałymo!". Potem usłyszałem tupot nóg, płacz jakiejś kobiety i łoskot wyważanych drzwi.

Banderowcy! - pomyślałem błyskawicznie i zdecydowałem się uciekać. Wskoczyłem przez okno do ogrodu. Za sobą słyszałem wołanie: - "Brate! Trymaj joh, bo wtikaje!" - Pobiegłem w pole, ukryłem się w zbożu i przesiedziałem tam kilka godzin. Gdy słońce było już wysoko, wróciłem na folwark. Tu dowiedziałem się, że napastnicy zabrali kilka sztuk bydła, świń i koni. Moje mieszkanie kompletnie zdemolowali, zabrali rower, pościel, ubrania, buty i inne osobiste przedmioty. Szukając czegoś, rozpruli siennik, na którym pozostawili łańcuch i powróż. Czyżby przeznaczony dla mnie?

Wyjaśniło się też, że kobieta, której płacz słyszałem - była żoną fornala i pod presją napastników wskazała moje mieszkanie.

Życie zawdzięczam agronomowi - Ukraińcowi, który dla zmylenia rizinów wskazał im nie moje okno, pod którym postawili uzbrojonego strażnika. Za to wprowadzenie w błąd agronom został przez "nocnych gości" mocno pobity.

Po tym wydarzeniu, w zużytej odzieży podarowanej mi przez pracowników folwarku, udałem się piechotą do rodziców w Sokalu.

A oto drugi przypadek:

W pierwszych dniach czerwca zostałem przeniesiony służbowo do pracy na

folwarku we wsi Józefówka, na granicy z Wołyniem. W Józefówce stacjonowała nawet kilkusobowa jednostka niemieckich "grenszuców". Ludność wsi stanowili prawie w 100% Ukraińcy, stanowiąc dobrą bazę dla działalności banderowców.

Zaprzyjaźniłem się z tutejszym agronomem i zamieszkałem z nim we wspólnym pokoiku w budynku zarządu folwarku. Agronom był Ukraińcem, ale jak mi się zwierzył, należał do odłamu bulbowców - przeciwników ideowych banderowców. Te dwa ugrupowania nacjonalistyczne zwalczały się wzajemnie. Widocznie była to prawda, gdyż agronom najwyraźniej obawiał się banderowców, którzy już w połowie lata działali aktywnie na terenie Sokalszczyzny.

Obawa przed napadem ich na folwark spowodowała, że jesienią nocowaliśmy od czasu do czasu - w tajemnicy przed pozostałymi pracownikami - w stodole lub w stertach słomy na polu. Robiliśmy w nich odpowiednio głębokie dziury, wsuwaliśmy się w nie, a otwór zatykaliśmy słomą. Kryjówkę opuszczaliśmy wczesnym rankiem.

Pod koniec października powiedziałem agronomowi, że jestem już zmęczony ukrywaniem się i spaniem w słomie, i od dziś zdecydowany jestem spać we własnym łóżku. Współlokator zaakceptował mój pomysł. Pewnej nocy obudził mnie nagle, poinformował szeptem: - "w sieni są banderowcy". - Ubrałem się szybko i wyskoczyłem przez okno. Pobiegłem w stronę strażnicy grenschutzów, by powiadomić ich o napadzie. Widziałem goniącego za mną agronoma, tylko w bieliźnie i z latarką w ręku, którego po pewnym czasie banderowcy złapali. Usłyszałem potem pojedyncze strzały karabinowe i pomyślałem, że go zabili.

Na mój meldunek "grenszuce" w ogóle nie zareagowali. Po kilkogodzinnym pobycie w ich strażnicy powróciłem na folwark. Tu dowiedziałem się, że dwaj "grenszuce" wracający z patrolu natknęli się na ubezpieczenie banderowców. Nastąpiła wymiana ognia i stąd te strzały, które słyszałem. Agronom za ułatwienie mi ucieczki został solidnie pobity. Banderowcy zabrali moją pościel, bieliznę i rzeczy osobiste, a z folwarku kilka furmanek zboża, kilka sztuk bydła i nierogacizny. Odjechali z łupem w stronę Sokala.

Miałem wiele szczęścia w obu przypadkach, że nie podzieliłem losu innych Rodaków.

Janusz Korzeniowski

Wrzesień 1939 roku widziany oczami 12-latka

Cz. I.

Był wczesny, pogodny poranek niedzieli 17 września.... Zbudził mnie narastający warkot lecącego nisko samolotu. Podbiegłem do okna i zobaczyłem przelatujący nad naszym domem jednosilnikowy samolot z czarnym krzyżem na kadłubie. Przysiadłem ze strachu, gdyż byłem pod wrażeniem opowieści o wyczynach niemieckich lotników, atakujących wszystko co żywe.

Przed tygodniem przeżyliśmy z bratem alarmy lotnicze i pierwszy nalot na Trembowłę, gdzie - mimo wojny - byliśmy na stacji rozpoczynając kolejny rok szkolny - brat w liceum, ja w I klasie gimnazjalnej. Samolotów wówczas nie widziałem, ale świst i huk wybuchających bomb, a potem serie karabinów maszynowych były w małym miasteczku doskonale słyszalne, zwłaszcza w okolicy o kilkaset metrów oddalonego dworca kolejowego, głównego celu ataku. Nalot przeczekaliśmy chyba w klatce schodowej piętrowego domu.

Tego dnia przyjechali koźmi, z odległego o 15 km folwarku, nasi rodzice. Podczas wspomnianego nalotu kula przebiła budę ich powozu, nie czyniąc krzywdy ani furmanowi, ani zaprzęgowi. Ofiar nalotu było jednak sporo. Zniszczone zostały także 3 kolejowe wagony pociągu ewakuacyjnego.

Z okresu poprzedzającego nalot (5-12 września) pozostał mi w pamięci następujący obraz: główną ulicą Trembowli, którą przebiegała droga z północy na południe - przez Kopyczyńce, Czortków do Zaleszczyk - przelewała się niemal nieprzerwanie fala pojazdów zdużających do rumuńskiej granicy. Zwróciłem uwagę na kabriolet zajęty tylko przez dwóch panów, za to wyładowany sporym bagażem. Zatrzymali się na krótką chwilę jedynie po to, by zmienić się przy kierownicy, i to bez wysiadania z samochodu. Byli w wielkim popłochu.

W dniu nalotu rodzice zabrali nas do domu i do szkoły już nie wróciliśmy.

W niedzielę, 17 września pojechaliśmy rano koźmi do kościoła w odległej o 4 km Mogielnicy. Po mszy św. rodzice rozmawiali z proboszczem przed

plebanią. Z późniejszych relacji wiem, że właśnie w tym czasie radio nadało komunikat i napaści sowieckiej na Polskę, co wówczas do nas nie dotarło.

Po naszym powrocie z kościoła na polu koniczyny obok folwarku wylądował polski samolot RWD z jednym pilotem, do którego zbiegł się zaraz tłum gapiów. Pilot wylądował tylko na chwilę, by zorientować się gdzie się znajduje. Twierdził, że leci z Lidy na południe, ale o nadciągających sowietach nas nie powiadomił choć zapewne o nich wiedział. Zaklinał jedynie ludzi by się rozeszli i nie zwabili swoją obecnością niemieckiego samolotu.

W południe popsuła się pogoda i po prawie trzytygodniowej suszy spadł pierwszy deszcz. Podczas obiadu zaczęły dochodzić do nas odgłosy jakichś mechanicznych pojazdów z polnej drogi, przebiegającej około 300 m od naszego domu. Poszliśmy z bratem w tym kierunku i wtedy na bardzo niewielkiej wysokości nadleciały dwa niezidentyfikowane samoloty, przypominające myśliwce. Rozległo się kilka detonacji.

Brat podszedł do bramy wjazdowej na teren parku. Zobaczyliśmy nadjeżdżający od strony wsi oddział kawalerii. Pomiędzy wsią a folwarkiem przepływał potok Gniła Rudka. Przed mostem zatrzymał się na chwilę czołg i ruszył za kawalerią. Nadjechał stamtąd kawalerzysta na koniu i spytał brata po rosyjsku czy można tu dostać wody. Uwagę Leszka zwrócił obcy mundur i inny niż u naszych ułanów sposób mocowania szabli. Było to nasze pierwsze, jakże niespodziewane, zetknięcie z agresorem ze wschodu.

Od paru dni gościli u nas krewni, szukający schronienia przed nasilającymi się atakami lotniczymi na Trembowłę. Była wśród nich kuzynka Matki, ciocia Lula - żona rtm. Stefana Tomaszewskiego, z-cy dowódcy 9 Pułku Ułanów Małopolskich - z matką, a także braterstwo naszego rządcy Juliana Nęcińskiego, Witoldowie z siostrą Julą, p. Marią Kamińską ze Lwowa i dwoma kolegami ich syna - Bolkiem Kotem i Jackiem Reklińskim, którzy przyjechali do nas z Żółkwi. Rodzina Nęcińskich pochodziła z Winnicy na Ukrainie, przeżyła tam rewolucję w 1917 r. i znała już bolszewików od najgorszej strony. Świetnie władająca j. rosyjskim p. Maria poszła w stronę kolumny sowieckiego wojska, która w międzyczasie - po przejeździe oddziałów zmotoryzowanych - zmieniła się w konnicę i tabory. W porównaniu z naszym wojskiem wyglądali jak obszarpańcy.

Do tłumy gapiów jeden z żołnierzy rzucił pytanie: - A pany u was jest'? - I gestem przetrzepywania skóry dorzucił: - Eto my ich tak! - Nie wróżyło to nic dobrego.

Wieczorem pojawiła się na nocleg grupa komandirów. Zachowywali się raczej przyzwoicie, ba dowód, że są "kulturni", posłużyli się naszymi szczoteczkaami do zębów.

Tu mam pewną lukę w pamięci i trudno mi z całą pewnością ustalić chronologię dalszych wydarzeń. Wiem, że noc spędziliśmy z ciocią i babcią na strychu stajni sąsiada, ukraińskiego chłopa Salija. Rodzice nocowali w domu. W poniedziałek rano zjawili się u Salija sowietcy czołgiści w kombinezonach z

pytaniem: - Zdzieś dołżny byt' syny pamieszczyka?! - Zabrali mnie do domu, gdzie w międzyczasie zaszły wypadki, o których nie wiedzieliśmy⁶. Dom od rana wypełniał się chłopami ze wsi, którzy niczego nie tykali ale dokładnie przyglądali się sprzętom i urządzeniu mieszkania. Widocznie wybierali najcenniejsze - w ich pojęciu - przedmioty rabunku, który miał się zacząć lada chwila. Z rabunku naszego mienia pozostał mi w pamięci tylko obraz chłopu dźwigającego jakiś sprzęt w kierunku wsi.

Następny obrazek - to przebywanie po tym dniu pełnym wrażeń na werandzie opustoszałego domu. Zgromadzona tam była tylko nasza czteroosobowa rodzina. Nie wolno nam było nigdzie stamtąd oddalać się a całe otoczenie domu wypełnione było sowieckim wojskiem. Przed werandą stało sporo osób spośród służby folwarcznej, m. in. kowal Michał Gach, późniejszy przewodniczący Sielsowietu.

Gdy zaczęła się strzelanina zapadał już zmrok. To przelatywał polski samolot, do którego strzelał każdy, kto tylko miał karabin. Słysząc też było karabiny maszynowe. Ludzie rozbiegli się. Samolotu chyba nie uszkodzono, ani go nie zestrzelono, bo wszystko szybko ucichło. Prawdopodobnie doleciał do Rumunii, do której było od nas w prostej linii około 70 km. Nie zapomnę uczuć, które mną wtedy targały: żal, nienawiść do bolszewików i strach o życie polskich lotników.

Wieczorem przeprowadzono nas do kuchni i ułożono rzędem na słomie. Jakiś umundurowany typ wyjął nagan i skierował w naszą stronę. zacząłem płakać, bo już wiedziałem czym to może "pachnieć", ale była to tylko przestroga przed ewentualną próbą ucieczki.

Kiedy brat podniósł się we śnie, pilnujący nas bojec wrzasnął - Łożyś! - i skierował ku niemu bagnet. Matka zbudziła Leszka głośnym wołaniem i gdy oprzytomniał, wrócił na miejsce.

W połowie nocy przeprowadzono nas do stelmaszni. Tam po raz pierwszy zetknęliśmy się z "kwiecistą" mową rosyjską. Byłem oburzony: jak ten prostak mógł się wyrażać w ten sposób przy mojej Mamie!

Wczesnym rankiem ujrzałem niecodzienny obrazek: wyprowadzono nas i parę znajomych pań na środek przed domem i ustawiono w kółko, w środku którego strażnik dawał baczenie na spełnienie rozkazu "otprawit'sia", czyli załatwić swoje potrzeby fizjologiczne.

Przed południem znaleźliśmy się na polu koniczyny obok folwarku, gdzie zgromadzona była spora ilość różnych pojazdów, najczęściej odebranych uchodźcom. Jeden z żołnierzy popisował się harcami na zdobyczym motocyklu. Tam przeszliśmy rewizję osobistą. Jedna z pań dała mi do ukrycia w skarpetce złoty pieniążek: miała ich kilka i obdzieliła nimi znajomą młodzież. Podczas rewizji żołnierz znalazł u mnie srebrny ryngraf, pamiątkę chrztu. - Eto pamiat'? - zapytał i oddał mi go, bo szukał złota i kosztowności. Złoty pieniążek

⁶ Podane w nr 17 "Głosów..." na str. 23.

nie został odkryty i powrócił do właścicielki.

Po rewizji załadowano naszą rodzinę na ciężarówkę razem z jakimiś uchodźcami i czekaliśmy aż do południa na sformowanie konwoju. W tym czasie chłopci przynieśli nam trochę prowiantu, fragmenty naszej odzieży i koce - a wszystko to pochodziło z wczorajszego rabunku naszego domu. Mnie dostała się letnia ażurowa czapka ze słomianym daszkiem mego ojca oraz gimnazjalna bluza brata.

Konwój ruszył późnym popołudniem. W naszym samochodzie nie było nikogo znajomego. Podczas posiłku Matka, widząc głodnych młodych ludzi w najbliższym otoczeniu, zaczęła dzielić się z nimi naszymi skromnymi zapasami. Zapamiętałem chytruska, który obgryzał z kromki chleba masło i podawał ją Matce do ponownego posmarowania.

Trasa naszego przejazdu przebiegała przez Mogielnicę, Budzanów i Czortków. Granicę na Zbruczu przekroczyliśmy w Husiatynie obok strażnicy KOPu, która stawiała opór wschodniemu najeźdźcy, o czym świadczyły postrzelane mury.

Krajobraz po przekroczeniu granicy nie przypominał naszych stron. Rzucaly się w oczy liche buraki i drewniane tablice z hasłami na czerwonych szmatach.

Późną nocą dojechaliśmy do Kamieńca Podolskiego i na krótko zatrzymaliśmy się chyba w XVII-wiecznej twierdzy. Stamtąd zawieziono nas na dworzec kolejowy, gdzie załadowano do bydłych wagonów, przy czym Matkę umieszczono w wagonie kobiecym, a nas z ojcem w bardzo zatłoczonym wagonie męskim. Na pomostach z desek o trzech kondygnacjach mieściło się to podobno 102 więźniów.

Z 5-cio dniowej podróży zapamiętałem ścisk, zaduch i brak powietrza, który szczególnie źle znosił ojciec, a także nastrój niepewności, bo zdawaliśmy sobie sprawę, że mogą nas wywieść na Sybir, nie wiadomo na jak długą poniewierkę.

Sowieckie lokomotywy nie posiadały gwizdków tylko wydawały przeraźliwe, dwutonowe sygnały podobne do syren okrętowych. Mnie kojarzyły się one z sykiem potworów, co napawało lękiem. Brutalne ruszanie z miejsca i także zatrzymywanie składu pociągu powodowało silne szarpanie wagonów, w wyniku czego zdarzało się nierzadko, że "mieszkający" na wyższej kondygnacji spadali na leżących niżej, albo wprost na podłogę.

Nad naszym legowiskiem, a może obok nas jechała grupa strażaków z Poznania, z których jeden - tęgi mężczyzna w średnim wieku - odznaczał się dużą drażliwością. Wpadał czasem w gniew, czerwieniał, sapał, zdawało się że zaraz wybuchnie - i tylko koledzy potrafili go ułagodzić. A powodów do zwad w tych warunkach nie brakowało.

Na stacjach nie wypuszczano nas z wagonów, drzwi otwierano tylko na czas dostawy jedzenia, przeważnie chleba i wody. Tej ostatniej podawano bardzo skąpo, a duża jej część była rozlewana po ziemi przy gorączkowym

czerpaniu jej z wiadra, w ścisku i zdenerwowaniu. Ciepłą stawę dostaliśmy po raz pierwszy w piątym dniu podróży w Bachmaczu. Kontakt z Matką nie mieliśmy.

Przejeżdżaliśmy przez Szepetówkę, Żmerynkę, Kijów i Fastów. Nazwy stacji mogli odczytać tylko zajmujący uprzywilejowane miejsca przy górnych okienkach, których było cztery. Nazwy mijanych stacji były mi znane z książki dla młodzieży, opisującej przygodę polskiego chłopca poszukującego w Rosji zaginionego po rewolucji ojca.

Tak dojechaliśmy do miasta Tiotkino w sumskiej obłasti, gdzie przeładowano nas do wąskotorówki służącej do transportu torfu, którego znaczne pokłady znajdowały się w tym rejonie.

Od miejsca, w którym wyładowano nas z wąskotorówki - do grupy baraków na torfowisku, stanowiących obóz dla więźniów, tzw. Uczastku - było parę kilometrów. Przemarsz do Uczastku pod konwojem żołnierzy, zmuszających do pośpiechu ciągłym "bystrej! bystrej!" - był trudny dla osób mniej sprawnych. Ojciec chory na serce, zasłabł i trzeba go było podtrzymywać pod ramiona. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że taki sposób popędzania więźniów był w zwyczaju NKWD, i ten kto nie wytrzymał, mógł być zastrzelony na miejscu.

W Uczastku cała nasza połączona rodzina, znalazła się w baraku podzielonym na dwie części: wojskową i cywilów. Ulokowaliśmy się na dzień czy dwa na piętowych pryczach z desek, na posłaniu z wyschniętych gałęzi z liśćmi. Każde poruszenie się na tym legowisku powodowało przesypywanie się przez szpary w deskach skruszonych liści na leżących niżej.

W naszym sąsiedztwie znajdowali się trzej redaktorzy warszawskiego pisma żydowskiego "Nasz Przegląd". Dochodziło między nimi do coraz ostrzejszej wymiany zdań właśnie z powodu tego nieuniknionego przesypywania się lotnego pyłu. Wreszcie padł ostateczny argument: - A pan jesteś bydlę, bydlę rogate! - Pierwszy raz w życiu obserwowałem taką scysję między inteligentnymi ludźmi.

c.d.n.

Józef K. Paygert
(Wybór i oprac. I. Kotowicz)

Wspomnienia

cz. VI.

Ostra rewizja osobista (zwana chatranką) spadała na nas co kilkanaście dni jak grom. Nieraz spaliśmy już w najlepsze, gdy nagle wchodziła do celi gromada dozorców i nakazywała wychodzić w bieliznie na korytarz. Ustawieni w długie szeregi marzliśmy a dozorczy nas obchodzili wypatrując, czy nie ukryliśmy czegoś pod bielizną. Gdy to "coś" znaleziono, winowajca wędrował do karceru a pozostali - bez względu na temperaturę - musieli rozebrać się do naga i wyciągać przed siebie ręce. Jakie to było upokarzające, nie muszę dodawać.

Gdy przebywaliśmy na korytarzu, w celi odbywała się rewizja naszych rzeczy. Banda dozorców otwierała każdy worek wyrzucając jego zawartość na ziemię. Najmniejszy schowek nie uszedł ich uwagi, zagłądano do każdej kieszeni. Gdy wchodziliśmy po rewizji z powrotem do celi, zastawaliśmy wszystko przemieszane, np. bieliznę z butami i naczyniami. Po kilku godzinach wytrwałej pracy dochodziliśmy do uporządkowania naszych rzeczy. Wiele ich jednak ginęło bezpowrotnie albo odnajdywało się przypadkowo u tych, co nie mieli dobrej opinii. Te rewizje były dla nas prawdziwą zmorą.

Minęło kilka tygodni od mego aresztowania gdy wezwany zostałem powtórnie na śledztwo. Badanie zaczęło się od pytania, do jakiej organizacji politycznej należałem, zwłaszcza czy nie należałem do syjonistów. Zdziwiony oświadczyłem, że jako Polak i katolik nie mogłem należeć do narodowej organizacji żydowskiej. Pytanie to wywołało mój uśmiech, co dało śledczemu do zrozumienia, że popełnił głupstwo, dał więc spokój organizacjom politycznym. Oświadczył natomiast, że przesłuchiowano świadków, którzy zeznali dla mnie niekorzystnie. Potem sędzia zapytał, co robiłem w czasie wojny polsko-rosyjskiej w 1920 roku? Pytanie było niebezpieczne. Nie mogłem się przyznać, że byłem ochotnikiem powiedziałem więc, że przez krótki okres czasu należałem do milicji obywatelskiej, a potem jako urzędnik Ministerstwa Rolnictwa zostałem wezwany do przydzielania powiatom koni i wozów. Na tym śledztwo się skończyło. Zostałem skazany drogą administracyjną (§ 245/13)

jako kapitalista - właściciel ziemski i właściciel realności we Lwowie.

Kilka miesięcy po uwolnieniu dowiedziałem się, że wzywano na przesłuchania kilku moich pracowników z Sidorowa, m.in. furmana Jaśka Topolnickiego, dobrego Polaka, którego życzliwości byłem pewien. Zeznawał w Probużnej przez kilka godzin, jak najkorzystniej dla mnie, co doprowadzało bolszewików do pasji. Również zeznania innych pracowników były dla mnie korzystne.

Cele nasze były wprawdzie ściśle izolowane, ale mieliśmy sposób porozumiewania się za pomocą pukania w ściany, które doskonale przepuszczały te odgłosy. Mistrzem w pukaniu był p. Kornecki - nauczyciel szkoły polskiej w Belgii. Tuż przed wybuchem wojny przyjechał do kraju odwiedzić ojca. W pierwszym okresie panowania bolszewików otrzymał posadę nauczyciela na prowincji, gdzie kazano mu zdjąć ze ściany portrety Prezydenta i Marszałka, a zawiesić portrety Lenina i Stalina. Ponieważ te nowe były bez ram, stróż - nie wyjmując poprzednich - włożył nowe w te same ramy. Po jakimś czasie doniósł władzom, że pod nowymi portretami znajdują się stare, co wystarczyło do aresztowania pana Korneckiego. Na sztuce pukania znał się też prof. Zaborski. Powodem jego aresztowania było usiłowanie przejścia granicy polsko-węgierskiej. Bolszewicy wywieźli go do Rosji na dwa miesiące przede mną. Porozumiewaniem się między celami zajmował się także inż. Wachołka, lotnik z I. wojny. Należał do jednej z naszych organizacji narodowych na Śląsku. Z tego powodu został skazany na karę śmierci. Jego podanie o kasatę wyroku zostało uwzględnione, ale zanim to nastąpiło - siedział kilka tygodni w celi skazanych na śmierć. Pobyt w takiej celi sam w sobie starczył za najsroższą karę. Po uwzględnieniu jego podania przydzielono go do naszej celi, bo śledztwo przeciw niemu zostało wznowione. Po kilku tygodniach zabrano go od nas na nową rozprawę i skazano ponownie na śmierć. Imponował nam spokojem, z jakim oczekiwał spodziewanego losu.

Najbardziej ciekawi wiadomości z innych cel byli Żydzi. Do nich należał p. Appenfeld, właściciel folwarku koło Radziechowa. Jako starozakonny i pobożny, nakładał kilka razy dziennie czapkę na głowę, odwracał się do ściany i modlił się na stojąco, odmawiając psalmy Dawida. Był bardzo przywiązany do rodziny i ciągle mówił o swojej żonie i najbliższych. Gdy otrzymał jakąś przesyłkę cieszył się jak dziecko. Był zapalonym rolnikiem i potrafił godzinami mówić o płodozmianach i hodowli bydła. Wywieziono go kilka miesięcy przede mną.

Drugim Żydem był lwowski adwokat, dr Kahane. Podczas I. wojny był lotnikiem austriackim i często o tym opowiadał. Marzył o szybkim wywiezieniu do Rosji, gdzie spodziewał się możliwości działania.

Za bolszewickich rządów we Lwowie uwolniony został z więzienia tylko jeden z naszych towarzyszy, Żyd p. Riesler. Był to nadzwyczajny wyjątek. Po uwolnieniu powiadomił moją żonę przez osobę trzecią, że siedział ze mną w jednej celi. Na dowód, że to uczynił żona przysłała mi chusteczkę z

wyhaftowaną literą "R".

Przez jakiś czas siedział z nami także żołnierz bolszewicki z dywizji kozackiej. Tańczył świetnie kozaka przygrywając sobie na grzebieniu. Był też ze mną parę tygodni ogrodniczek mojej siostry Łączyńskiej z Zaborza k/Rawy Ruskiej. To od niego dowiedziałem się szczegółów zniszczenia posiadłości siostry.

Pierwsze święta Bożego Narodzenia - daleko od swoich. Gdy nastąpiła noc Wigilijna zaczęliśmy składać sobie życzenia, a potem śpiewać kolędy. Wywołało to niepokój u naszych dozorców, co chwila pukali do drzwi wzywając coraz ostrzejszym tonem do zaprzestania śpiewu. Nie zważaliśmy na to, a niebawem inne cele poszły za naszym przykładem. To dodało nam pewności. Śpiew, początkowo słaby, przyciszony, stawał się coraz potężniejszy, coraz więcej głosów przyłączało się do naszego chóru, aż wreszcie cały gmach więzienia rozbrzmiewał słowami kolędy "Kiedy Bóg się rodzi, moc truchleje...". Oczy zachodziły łzami. I nasza piękna, stara kolęda powtarzana była już przez tysiące głosów.

Nasi dozorczy zaniepokoił się na dobre. Śpiew zaczęli uważać za bunt, i co chwila wpadał ktoś do naszej celi pniąc się ze złości i grożąc karną komisją. Gdy celę opuszczał, śpiewaliśmy od nowa zdając sobie jednak sprawę, że długo to nie potrwa. Pragnęliśmy jednak za cenę bicia czy karceru przedłużyć tę niezapomnianą chwilę.

I chwila upojenia minęła. Nagle otworzyły się z trzaskiem drzwi i do celi wpadło kilkunastu ludzi w skórzanych kurtkach, z rewolwerami w jednej a nahajami w drugiej ręce. Śpiew natychmiast umilkł. Przybyli podzielili między siebie mieszkańców celi, na każdego przypadło kilku więźniów. Każdy stanął nad swoją gromadką jak ryczący lew nad ofiarą, żądając pod rygorem natychmiastowego rozstrzelania zachowanie całkowitej ciszy. Groza powiała przez celę... Przez chwilę zastanawiali się co z nami zrobić, w końcu zażądali, by wystąpili ci co śpiewali. Nikt się nie ruszył, a tylko tu i ówdzie dały się słyszeć głosy, że śpiewali wszyscy. Widząc, że nikt nikogo nie zdradzi, postanowili ukarać starostę. Był nim wówczas pan Paszkowski, murarz z zawodu, ogólnie lubiany bo był koleżeński. Wywleczono go natychmiast z celi i usłyszeliśmy, że go na korytarzu poczęstowano kilkakrotnie nahajem. Gdy go z powrotem wepchnięto do celi, twarz miał zmienioną ale zniósł ból z chrześcijańską cierpliwością.

Na tym skończył się najwznieściejszy moment jaki przeżyłem w więzieniu. W sąsiednich celach, o ile mogliśmy dosłyszeć, odbyła się ta sama scena z komisją karną i biciem starosty. Niebawem cały gmach więzienia pograżył się w ponurym milczeniu.

W miarę zbliżania się wiosny ubywało z celi coraz więcej znajomych, ponieważ dwa razy w miesiącu odchodził do Rosji większy transport więźniów. Zabrano panów: Zaborskiego, Terlikowskiego, Tkaczuka, Dubowego, dr Wilczka i wielu innych. Mnie pomijano za każdym razem. Przybywający nowi

ludzie byli mi przeważnie obcy.

Wezwano mnie na śledztwo po raz trzeci. Tym razem pytano tylko o moje stosunki finansowe. Najwięcej niepokoju sprawiał mi wówczas stan mego zdrowia. Choroba zaczęła się w kwietniu. Przez kilka dni czułem ból głowy, gorączkę i zupełny brak apetytu. Potem gorączka ustąpiła, ale zacząłem źle sypiać. Poczulem swędzenie ciała, które po kilku dniach pokryło się wrzodami, a głowa, kark i lewa noga stały się jedną raną. Był to typowy szkorbut. Zapisano mi lampę kwarcową, do której chodziłem co parę dni z p. Strycharskim. W bezsenne noce obserwowałem potworną ilość pluskiew, które wychodziły ze swych kryjówek na żer. Przed każdą nocą czułem lęk. Gdy minął maj, w zdrowiu moim nastąpiła poprawa.

W nocy z 6/7 czerwca obudził nas głos dozorczy pytającego, kto w celi "nazywa się na bukwę P"? Byłem jedynym. Towarzysze wymienili moje nazwisko i usłyszałem: - "Ano, dawaj z wieszczami". Słowami "Szczęść Boże" pożegnałem moich współtowarzyszy i wyszedłem na korytarz przynaglany przez dozorcę. Z innych cel też wyprowadzano więźniów, zebrało się nas dziewięciu.

Sprowadzono nas na dół, doszliśmy do jakiejś izby, i wzywaniem pojedynczo prokurator odczytywał wyroki. Mnie oznajmił, że skazany zostałem na 5 lat przymusowej pracy. Był to najniższy wymiar kary. Oprócz mnie dotyczył jeszcze dwóch czy trzech więźniów. 8 lat dostało czterech, a jeden czy dwóch po 10 lat. Wszyscy zostaliśmy skazani wyłącznie drogą administracyjną, a więc bez odbycia rozprawy sądowej, winą zaś było posiadanie majątku (ja), innych zaś że byli polskimi sędziami lub funkcjonariuszami Policji Państwowej albo też nielegalnie chcieli przekroczyć granicę w Karpatach.

Po tym akcie, który miał miejsce koło północy, zostaliśmy odprowadzeni do odrębnego oddziału, tzw. Korpusu II, przeznaczonego wyłącznie dla skazanych. W długich pogawędkach zastanawialiśmy się, co się z nami stanie jeśli w najbliższym czasie nie wybuchnie wojna niemiecko-rosyjska i zdążą nas wywieść. Przeważało zdanie, że zatrudnią nas w kołchozach. Sołtys z Narola ofiarował się nauczyć nas dojenia krów. Zapewniał, że będzie się nam dobrze działo, co wydoimy - to wypijemy.

Drugiego dnia przeniesiono nas do innej, dużej i bardzo brudnej celi. Zastaliśmy w niej dwóch więźniów. Jednym był kolejarz, p. Zając, od drugiego - prawnika p. Brocka dowiedziałem się o śmierci mego szwagra, Michała Moysy. Wiadomość ta wstrząsnęła mną. Wiedziałem, że był szpitalu więziennym ale nie groziło mu niebezpieczeństwo. Brock siedział w więzieniu za nielegalne przekraczanie granicy od października 1939 r., więc blisko dwa lata. Znalazł się w szpitalu więziennym w tej samej celi co Michał, i jako mniej chory usługiwał jemu i innym. Michał zgasł prawie na jego rękę, tak cicho jak ciche było jego życie. Bez pociechy religijnej, bez zobaczenia najbliższych. Miał możliwość wyjechania za granicę, mieszkał bowiem tuż nad granicą rumuńską, ale przywiązany do swoich Rudnik, nie chciał rozstawać się z ziemią.

Do celi wprowadzono kilkudziesięciu nowych więźniów. Byli też między nimi pospolici przestępcy. Rano spostrzegłem, że brakuje mi mnóstwa rzeczy w moim worku. Zgłosiłem to staroście, który ani się tym nie przejął, ani nie zdziwił. Po moich usilnych naleganiach odebrał od jednego z nowych kilka kawałków skradzionej bielizny. Oznajmił jednak, że jego zdaniem mam nadmiar rzeczy, gdy inni nie mają nic, przeto o ile sam nie podzielę się z towarzyszami, zostanę znowu okradziony. Zacząłem więc dopytywać się kto czego potrzebuje najbardziej, aby się podzielić, ale i to nie zabezpieczyło mnie przed kradzieżą.

Kilku nowych więźniów wyróżniało się charakterem i kulturą od reszty.

Na podwórzu więziennym stał tłum ludzi podzielony na grupy. Przed każdą stał stół, za nim siedziała bolszewicka komisja. Jeden brał ze stosu grube koperty i odczytywał nazwisko więźnia. Na każdej z nich naklejone były dwie fotografie wywołanego. Podchodził do stołu, aby komisja mogła mu się dobrze przyjrzeć, potem odchodził na bok gdzie rzeczy jego poddawano ostrej rewizji. Jemu samemu kazano rozebrać się do naga, wyciągnąć przed siebie ręce, wykonać przysiady, otwierać szeroko usta. Inny dozorca przeszukiwał dokładnie ubranie więźnia, obuwie i bieliznę. Niektórym odrywano nawet obcasy od butów. Butów z oderwanymi obcasami nie można było potem naprawić, a bielizny rozrzuconej w błocie podwórza wyprać. Chwilami odnosiłem wrażenie, że rewizję przeprowadzają obłąkańcy.

Równie przykry widok jak rewizja sprawiał sam skład komisji bolszewickiej. Co za ohydne twarze! Tu dopiero można było przekonać się, jak dalece zbrodnia wyciska swe piętno na tym kto się jej dopuszcza.

Na podwórze zajęchały auta przystosowane do przewożenia więźniów. Po kilkunastu minutach jazdy kazano nam wysiadać. Byliśmy na przedmieściu Lwowa, w pobliżu stacji Kleparowskiej. Obok przechodzili jacyś ludzie, nikt jednak nie śmiał się do nas zbliżyć, ponieważ dozorca odpędzali przechodniów. Prowadzono nas torem kolejowym do długiego pociągu towarowego stojącego w szerym polu. Był jasny, czerwcowy dzień przed zachodem słońca... Dozorcy wciąż przynaglali nas do pośpiechu, prowadząc psy na smyczy. Psy były tresowane, przy próbie ucieczki rozszarpały więźnia.

Dozorcy podzielili nas na grupy po 35-40 osób i kazali natychmiast wsiadać do wagonów. Ucieszyłem się, gdy znaleźli się obok mnie znajomi: p. Suchostaw, p. Brock, sędzia Chinko i kilku innych. Natychmiast zasunięto za nami drzwi i zamknięto je na kłódkę. Okienka w wagonie były małe i zakratowane.

Minęła reszta dnia 20 czerwca, minęła noc i cały następny dzień a my ciągle staliśmy w miejscu. Nawet lokomotywy nie przyczepiono. Dokuczał nam upał, a nade wszystko głód. Dostawaliśmy na cały dzień dwa śledzie, cukru tyle ile zmieściło się w dwóch pudełkach od zapalek oraz 750 gramów źle wypieczonego chleba. Żadnej zupy, żadnej herbaty. Odczuwaliśmy więc znaczne pragnienie, zwłaszcza po śledziach, a dwa wiadra dostarczonej nam wody nie mogły pragnienia ugasić.

Nie dochodziły do nas prawie żadne odgłosy poza krokami straży i ujadaniem psów policyjnych. Nad ranem zbudziły nas detonacje. Stawały się coraz bliższe i częstsze.

- To wojna panowie! - krzyknąłem.

Nie wszyscy byli jednak tego zdania twierdząc, że to ćwiczenia. Wówczas p. Chęć, st. posterunkowy PP spojrział przez okienko i wskazał na ogromny pióropusz dymu nad Skniłowem. A więc było bombardowane lotnisko, a przecież Rosjanie nie bombardowaliby własnego lotniska. Zatem wojna!

Potem bomby zaczęły padać coraz bliżej. Raz po raz powtarzały się detonacje, aż ziemia się trzęsła a wagon trzeszczał jak pudełko zapalek. W przerwach odzywał się grzechot karabinów maszynowych. Położenie nasze nie było wesołe. Dowiedziałem się potem od więźniów z innych wagonów, że niektóre zostały podziurawione kulami karabinowymi. Ofiar w ludziach na szczęście nie było.

Podczas całego ataku lotniczego wszyscy dozorczy z psami znikli jak kamfora. Mogliśmy wówczas rozbić wagon i uciec. Nie zrobiliśmy tego jednak ani my, ani inne wagony, bo bez narzędzi nie było to rzeczą łatwą, a w czasie ucieczki można było stać się ofiarą albo strzałów bolszewickich, albo atakujących samolotów. Atak trwał zresztą krótko, wiele czasu nie było.

Umilkły detonacje i wszyscy pragnęli, aby pociąg nareszcie ruszył. Ruszyliśmy w godzinę po nalocie. Na stacji w Krasnem staliśmy dość długo i mieliśmy czas porozumieć się z towarzyszącymi nam robotnikami - Polakami, których bolszewicy więzili ze sobą w osobnych wagonach, aby pod dozorem strażników przynosili nam wodę i jedzenie. Dla nich były to ekspedycje karne za jakieś drobne przewinienia, nie byli więźniami jak my, i po odstawieniu transportu mieli zaraz wracać do domu. Dla nas byli wprost nieocenieni, od razu poznaliśmy się na tych pełnych fantazji Lwowian, wiedzieliśmy że zrobią wszystko aby przyjść z pomocą, Dowiedzieliśmy się od nich, że tej nocy rzeczywiście wybuchła wojna niemiecko-bolszewicka, i że transport nasz zostanie podzielony na dwie części: jedna pojedzie do Berdyczowa, druga do Kirowa. A więc nie wywiozą nas w głąb Rosji. Nasze samopoczucie znacznie się poprawiło. Wyświadczyli nam jeszcze jedną przysługę: ofiarowali się zanieść do naszych rodzin karteczki od nas.

c.d.n.

Irena Ornatowska - Zduniak

"Gdzie byłaś tak długo?"
(Okupacyjne wspomnienie Czortkowiarki)

Zdobywanie żywności podczas okupacji niemieckiej w Czortkowie było dla wielu z nas piekłem. Po kromkę chleba - 10 dkg na osobę dziennie - trzeba było ustawiać się w kolejce już w nocy, a i tak decydowała o zdobyciu go siła fizyczna, bo gdy sklep rano otwierano - kolejka zmieniała się w zbitą masę ludzi, rozpychającymi się łokciami i głośno złorzeczącymi.

Nie zapomnę dnia, w którym moja starsza siostra, sama będąc w ciąży, wysłała mnie do sklepu po chleb.

Był rok 1941. Idąc ul. Mickiewicza zobaczyłam przed sobą setki Żydów konwojowanych przez niemiecką policję SS i ukraińskich policjantów. Szli jezdnią w bardzo długiej kolumnie, po osiem osób w szeregu, a co pół metra z jednej i drugiej strony pilnowali kolumny uzbrojeni konwojenci.

Gdy zbliżyłam się do kolumny (na tej trasie znajdował się sklep, do którego zdążałam) zostałam nieoczekiwanie przesunięta z chodnika na jezdnię i włączona do konwojowanej grupy. Uznano mnie za Żydówkę.

Szłam z tymi ludźmi szosą prowadzącą do Zaleszczyk około 20 km, nie dochodząc do miasteczka Tłuste. Przez całą drogę próbowałam wyjaśnić, że jestem Polką, mieszkanką Czortkowa, że znają tam całą moją rodzinę bo jej członkowie pracowali w Urzędzie Skarbowym, w Starostwie i na kolei, że jesteśmy zaprzyjaźnieni z rodzinami ukraińskimi, które mogą to poświadczyć. Na nic jednak były moje tłumaczenia i rozpaczliwy szloch, ponieważ otaczający mnie Żydzi przysięgali, że jestem Żydówką, a teraz usiłuję się "wymigać". Dzięki nim niejednokrotnie oberwałam od Niemców kolbą karabinu po plecach.

Tymczasem kolumna posuwała się szybko do przodu. Podśluchałam przypadkowo podczas tego marszu, że Żydzi prowadzeni są na zagładę do miasteczka Torskie w pow. zaleszczyckim. Wzmogłam więc swoje starania o uwolnienie, i nie zważając na razy, biegałam wewnątrz kolumny do przodu i do tyłu, wykrzykując głośno swoje argumenty i szukając pomocy u ukraińskich policjantów. Gdy zbliżyliśmy się do miasteczka Tłuste, zaczęłam histerycznie wykrzykiwać, że mam na nogach rany i zbliżyłam się do młodego Ukraińca. Płacząc, prosiłam go o pomoc i zapewniałam, że jestem katoliczką, a nasi ukraińscy sąsiedzi to potwierdzą.

Zdenerwowany Ukrainiec kazał mi odmówić głośno po ukraińsku "Ojczy

nasz" i powiedzieć, jak brzmią pozdrowienia przy wchodzeniu i wychodzeniu z cerkwi. Gdy spełniłam polecenie, Ukraińiec zawołał do drugiego policjanta: "Iwane, Bih me, szczo ce chrystianka!". A potem zwrócił się po ukraińsku do mnie: "wałnę cię teraz po ramieniu kolbą, a ty padaj do rowu twarzą do ziemi i udawaj martwą".

Pamiętam, że krzyknęłam z bólu, jakiś Niemiec wrzasnął "was?", a Ukraińiec odpowiedział "kaput!" Kolumna poszła dalej, a ja zostałam w rowie i ... straciłam przytomność.

Dopiero po trzech tygodniach dowiedziałam się, co wydarzyło się później. Otóż nadjechali furmanką jacyś ludzie i zobaczywszy leżącą w rowie dziewczynę, zabrali mnie ze sobą do wsi. Przykładali mi do ust lusterko, żeby sprawdzić czy żyję.

Żywiono mnie zsiadłym mlekiem i kaszą kukurydzianą. Gdy po tygodniu poczułam się lepiej, pytali czy nie jestem Żydówką. Wiadomo, że za pomoc udzieloną Żydowi groziła kara śmierci. Uspokoiliam moich wybawców i podałam swoje nazwisko. Ci dobrzy ludzie dali mi na drogę chleb i ser, i odwieźli mnie do głównej szosy Zaleszczyki-Czortków.

Szłam pieszo w kierunku Czortkowa około 20 km, liczyłam słupy telegraficzne, śpiewałam "Kto się w opiekę..." i oglądałam się z niepokojem za siebie, czy mi znowu coś nie zagraża. Kiedy zmęczona usiadłam w rowie, zjadłam otrzymany chleb i ser, i nie mogłam podnieść się do dalszej wędrówki, usłyszałam turkot furmanki. Po chwili zapytałam jadących czy mnie podwiozą. - "Tak, wsiadaj jedziemy do Jagielnicy!" - usłyszałam. Ale do Jagielnicy było już tylko 2 km, a do Czortkowa jeszcze 10 km. Przemierzając samotnie resztę drogi miałam wciąż czarne myśli.

Gdy weszłam do domu, moja siostra wykrzyknęła: - "Gdzie byłaś tak długo?!" A ja runęłam na podłogę i znowu "film mi się urwał". Tym razem na dwa tygodnie. Leczył mnie dr Józef Fedorowicz, krewny mojej rodziny. Dopiero po tygodniach siostra i szwagier dowiedzieli się co mnie spotkało.

Chleba do domu nie przyniosłam, wszyscy byli głodni, leczono mnie długo.

Nie wiem, czy uchowala się chociaż jedna osoba z tej tragicznej kolumny Żydów na trasie Czortków - Torskie.

Nie wiem też czy żyje jeszcze policjant ukraiński, który uratował mi życie i kim była rodzina ze wsi koło Tłustego, która uratowała mnie od śmierci i głodu?

Opisując teraz to wydarzenie wyrażam im swoją głęboką wdzięczność...

Bolesław Łukasiewicz
(Wybór i red. I. Kotowicz)

Wspomnienia ze Stryjówki

Cz. VI.

Uwięzieni w syberyjskich tajgach ludzie ze Stryjówki nie tracili nigdy nadziei na powrót do Kraju. Gdy Sowieci nawiązali stosunki dyplomatyczne z rządem gen. Sikorskiego, wśród naszych Sybiraków wybuchł wielki entuzjazm. Ułożyli naprędce pieśń, daleką wprawdzie od poezji, ale wiernie oddającą nastrój tamtej chwili. Nie udało się ustalić jej autora, był to zapewne rezultat zbiorowej twórczości, bo jak pisał Zdzicho Smoluk do Nusi Ciastoń - gdy nadeszła wiadomość o nawiązaniu stosunków, nie spali całą noc, a efektem ogromnej radości był właśnie poniższy wiersz.

Nadeszła upragniona chwila,
 nadszedł ten upragniony czas,
 gdy nasza spragniona Ojczyzna
 do boju wzywa nas!

Więc wszyscy sybirscy wygnańcy,
 w kim tylko płynie polska krew,
 pójdziemy razem ochotnie
 na Sikorskiego zew!

O Wodzu! Wodzu nasz kochany,
 jak wielką radość niesiesz nam!
 Spieszymy do Ciebie sterani,
 a Ty tylko pomoc daj.

Rzucimy tę sybirską ziemię,
 rzucimy niewolniczy znój,
 i jeszcze raz powtórzymy
 Grunwald oraz nad Wisłą cud.

Powróćmy teraz do dalszego ciągu relacji Janiny Marczak-Bodnar z 17-go numeru "Głosów Podolan".

"Mężczyźni i kilka dziewcząt zgłosiło się od nas do armii polskiej. Młodych do wojska przyjęto ale takim, jak mój Ojciec, kazano wracać do rodziny i czekać. Powrót Ojca z Samarkandy był bardzo ciężki - trochę jechał, trochę szedł pieszo, o głodzie i chłodzie. Gdy dotarł do Kujbyszewa zgłosił się do ambasady amerykańskiej, jako że przed wojną długo przebywał w Stanach Zjednoczonych i miał amerykańskie obywatelstwo. Do Kraju wrócił aby zabrać rodzinę, ale Matka nie godziła się na wyjazd. Później niekiedy żartował, że na

wyjazd do Ameryki Mama namysłała się kilka lat, a na Sybir gotowa była w ciągu pół godziny.

W Kujbyszewie Ojciec nie pozostał i to był wielki błąd. Obawiał się, że gdy wyjedzie do Ameryki, to nas z Sybiru nigdy nie wypuszczą.

W ambasadzie kazali Ojcu zrobić zdjęcia i starać się o paszport w NKWD. A tam go poprostu wyśmiali mówiąc, że gdyby puścili go do Ameryki wszyscy dowiedzieliby się zaraz jak w ZSRR traktuje się amerykańskich obywateli.

Po upływie tygodnia NKWD przyjechało pod dom, wywleczono Ojca z łóżka, i nigdy już go nie zobaczyliśmy. Napisał tylko do nas, że wmawiają mu jakieś sprawy polityczne, a zaoczny sąd w Moskwie skazał go na osiem lat ciężkiego więzienia. Karę odsiadywał koło Swierdłowska - Kamiensk-Uralsk, Krasnaja Gora i tam umarł. Akt zgonu, o który zabiegałam, przysłano mi już do Stryjówki z informacją, że zmarł w Ozierkach. Oburzona napisałam do urzędu ostry list, zarzucając sfalszowanie dokumentu i wredne kłamstwo, ale odpowiedzi żadnej nie dostałam.

Gdy zginął gen. Sikorski cała wieś płakała, nie chcieliśmy już pracować. Właśnie wtedy ogłoszono "paszportyzację" - mieliśmy przyjąć sowieckie obywatelstwo. Ludzie wyrażali sprzeciw, ponieważ obawiali się, że zatrzymają nas tu już na zawsze. Wprawdzie tłumaczono nam, że po skończonej wojnie będziemy mogli wyjechać, ale nikt już nie wierzył władzom sowieckim. Nastąpiły teraz aresztowania i dużo młodych ludzi zginęło w więzieniach. Wyroki opiewały wprawdzie na dwa lata, ale mało kto je wytrzymał.

Nas już nie ruszano. Mieli Ojca i to widocznie wystarczyło. I znowu stał się "cud". Wanda Wasilewska przysłała trzech polskich podoficerów dla zorganizowania transportu dla tych, którzy jeszcze w Ozierkach pozostali. Mieliśmy być przesiedleni na Ukrainę.

Wieczorem przyszedł nasz naczelnik i prosił - zwracając się do każdej z nas per "pani" - byśmy pozostały na miejscu jeszcze dwa dni dla zebrania z pola jęczmienia i owsa, jako że akurat były żniwa. Zbóż ozimych nie było, wymarżyły. Ponieważ nie był to zły człowiek, a groziło mu więzienie gdyby zboża nie zebrał, przychylił się do prośby. Przez dwa dni i dwie noce, jasne jak dzień, każdy kto mógł się poruszać szedł w pole z kosą lub sierpem. Przysłano nam tam kuchnię z zupą i chlebem. Zboże zostało zebrane i zwiezione do stodoły. Nawet mali chłopcy pomagali nosić snopy na plecach.

I znowu ruszyły nasze "kibitki" w stronę rzeki, gdzie czekał na nas pociąg. Nim dojechaliśmy do Turyńska. "Nasz" naczelnik płakał przy pożegnaniu. Pozostali mu już tylko Niemcy z nad Wołgi, których deportowano tu gdy zaczęła się wojna niemiecko-rosyjska. Ale Niemcy byli butni, nie chcieli, nie umieli też pracować w polu czy w lesie. Byli to inteligentni - inżynierowie, lekarze, studenci, wszyscy dobrze ubrani. Tłumaczyliśmy im, a nawet prosiliśmy, by przynajmniej udawali że pracują, to dostaną chociaż chleb, zwłaszcza że wraz z wojną ograniczono i tak skąpe racje żywnościowe. Niemcy nas jednak nie posłuchali, jedli to co rosło na polach - kartofle, brukiew, buraki,

kapustę - wszystko na surowo, i do końca roku wszystkie samotne osoby stały się ledwie łązącymi cieniami. Prosimi: "pan, daj kleba!" Dzieliliśmy się z nimi małą kromką chleba, ale w końcu zmarli na czerwonkę. Przeżyli tylko ci, którzy posiadali rodzinę, ponieważ ze względu na jej utrzymanie poszli do pracy.

Do Swierdłowska wieziono nas dobę ciężarowymi samochodami i wąskotorówką, a tam załadowano do ciężarowych wagonów. Podróż na Ukrainę trwała dalszych trzydzieści dni i nocy, ponieważ tory uszkodzone były przez bomby. W Sumach i Bachmaczu staliśmy po trzy doby, i na tamtejszych bazarach zdobyliśmy trochę żywności na dalszą drogę. Pieniądzy mieliśmy dość, bo za pracę nam płacono, a wydawaliśmy je tylko na chleb.

Gdy przybyliśmy na miejsce był ciepły słoneczny dzień, istny raj na ziemi. Dyrektor - Polak z pochodzenia powitał nas chlebem i solą. Był suty obiad, nawet wino, i owoce nie widziane przez wiele lat.

Osiedliła się tu "cała" Stryjówka, to znaczy starcy, kobiety i dzieci. Młodszy mężczyźni byli w wojsku, albo w więzieniu. Początkowo mieszkaliśmy w pałacu hr. Lwowa. Dokoła był park, jezioro i 50 ha sadu. Świetnie nam się razem pracowało, nic nas nie dzieliło. Życie nasze na Ukrainie było znacznie lżejsze niż w Ozierkach, nie brakowało żywności. Po zbiorze plonów odbyło się zebranie, na którym przydzielono nam zajęcia. Panie: Zawistowska, Smolukowa, Szymańska i Zuzanna Robak otrzymały pracę w kuchni. Ja prowadziłam sklep. Towaru wiele w nim nie było, ale był olej słonecznikowy i chleb oraz trochę podstawowych rzeczy potrzebnych w codziennym życiu. Paweł i Jan Robak oraz Paweł Tracz pracowali w sadach. Był tu ogromny urodzaj owoców, mogliśmy je jeść do syta. Winnice prowadził dziadek Gwoudenko, który wina nie żałował i każdemu kto chciał, nalewał do garnka "na zdrowie".

Po Bożym Narodzeniu przyjechał po swoją rodzinę ksiądz Smoluk; Ojciec jego zmarł na Syberii, a brat siedział w więzieniu za odmowę przyjęcia sowieckiego paszportu. Ksiądz zabrał więc tylko pozostałych członków rodziny oraz rodzinę Zawistowskich, dla której miał odpowiednie dokumenty.

"Przykleiłam" się do nich nie posiadając biletu kolejowego, a że w Rosji sprawdza się bilety przy wejściu do pociągu, konduktorka nie chciała wpuścić mnie do wagonu. Jechałam więc dwie godziny na oblodzonych stopniach. Na szczęście miałam rękawice, ale i tak odmroziłam ręce. Ks. Smoluk tłumaczył konduktorce, że wracam z Sybiru, że przeżywszy Sybir teraz mogę stracić życie. Na trzeciej stacji pozwoliła mi wreszcie wejść do wagonu. W obawie przed kontrolą zamknęła mnie na granicy w ubikacji. Widziałam przez okno Zbrucz, kolejne stacje, w końcu Maksymówkę. Przez cały czas płakałam. Pracowała tu na dworcu Kazia Kominkówna i zaraz się mną zajęła.

W Stryjówce koleżanki pracowały w b. majątku Małachowskich. Poszłam przywitać się z nimi i bardzo się przestraszyłam, gdy naczelnik kazał mi wejść do swego pokoju. Myślałam, że znowu czeka mnie Syberia. Ale on, zorientowawszy się że znam j. rosyjski i księgowość, zaproponował mi pracę w

biurze.

Musiałam jednak pojechać najpierw na Ukrainę po Matkę i siostrę. Przywiozłam także ciocię i Hanię Kołodziej.

Do pracy w majątku zwerbowałam Zdzicha Smoluka. Pracowaliśmy niekiedy cały dzień, bo trzeba było obliczać i wypłacać zarobki wielu ludziom, ale pracowaliśmy w cieple i pod dachem. Płacono nam dobrze, dostawaliśmy też żywność. Naczelnik był dobrym, inteligentnym człowiekiem i dobrze nas traktował.

Zarejestrowaliśmy się niezwłocznie na wyjazd do zachodniej Polski i po roku wyjechaliśmy zorganizowanym transportem.

Maria z Ganowskich Zawistowska wspomina:

"W drodze na zesłanie przejeżdżaliśmy obok posesji moich rodziców. Ojciec leżał obłożnie chory, prosiłam więc enkawudzystę by mi pozwolił pożegnać się z najbliższymi. Nie tylko nie zezwolił, ale zwymyślał mnie jeszcze bardzo obelżywymi słowami.

Na Syberii pracowałam w tajdze na równi z mężczyznami. Przez cały dzień ciążył mi bardzo sztywny, oblodzony waciak. Nie zdążył w ciągu nocy wyschnąć w ziemiance, a rano trzeba było znów ruszać w tajgę.

Bardzo ciężko przeżyłam rozstanie z Krajem i rodziną. Na Sybirze napisałam wiersz, zrodzony z dojmującej tęsknoty za Ojczyzną.

Jak piękne jest nasze Podole...
 Wyjdiesz wieczorem czy z rana,
 spojrzysz na pole, zrozumiesz
 jaka to ziemia kochana.
 Zielenią cała pokryta,
 jak dywan ukwiecona.
 Gdy ją utracisz i ktoś zapyta
 czy tęsknisz?
 zrozumiesz, jak droga ci ona.
 Jakby to było dziś - pamiętam -
 wiałam wieńce ze złotych zbóż,
 wiosną zrywałam kaczeńce,
 stawiałam bukiety z czeremchy,
 latem - z jaśminu i róż.
 Podolska ziemia taka sercu miła,
 słodka, czarna i żyzna.
 Nie tylko dla mnie - jam się tam rodziła,
 lecz chyba każdy przyzna
 kto choć raz był tam, i widział
 pola dzielone miedzami
 jak kilim pasiasty.
 Nad rzeką wierzby rosły i topole,

na miedzach piołun i krwawnik,
 a w zbożu maki i bławaty.
 Stale mam w pamięci tamte okolice,
 figury przydrożne, których zapomnieć nie mogę.
 W snach powracam na pola,
 łzą oblewam lice,
 tam - gdzie krzyż stał. Tylko przejść przez drogę...
 A droga wiodła wprost do wioski.
 Widać stąd było chat słomiane strzechy,
 słysząc pianie kogutów
 i gdakanie nioski.
 A ja szłam... pełna radości i uciechy...
 Nastaje szary świt, sen błogi znika.
 I nikt nie dowie się jak od nowa
 tęsknota serce me przenika.

A oto relacja Anny Smolukowej:

"Okolo 5-tej nad ranem 10 lutego 1940 roku zakolatano do drzwi. Wszedł żołnierz sowiecki z bronią i mieszkańcem wsi Sałahub w roli przewodnika. Podjechały sanie. Rosjanin pomagał pakować to co było pod ręką i przypominał, co należy jeszcze ze sobą zabrać. Zachowywał się bardzo życzliwie.

Gdy wagony nasze stały na stacji w Maksymówce, krewni i znajomi dowozili żywność, uzupełniając w ten sposób nasze zapasy na drogę. Gdy pociąg ruszył, wagonów nie otwierano przez sześć dni i nikt nie troszczył się o deportowanych. Nie było żadnej opieki lekarskiej. Czasem tylko podawano nam "kapiatok" i małe porcje chleba.

W miejscu zesłania tubylcza ludność odnosiła się do nas bardzo życzliwie, ale z "nacjonalizmem" bywało różnie. Wyżywienie było nędzne i zależało od liczby osób pracujących w danej rodzinie. Głód nie był więc nam obcy, zwłaszcza po odmowie przyjęcia sowieckich paszportów.

W mojej rodzinie Franciszek pracował w kolchozie, Anna w piekarni, a Ojciec Maciej przy wytapianiu smoły. Niezwykle ciężkie warunki naszego życia spowodowały bolesne straty: zmarł Maciej Smoluk i 9-letnia córeczka Henia. Dziecko umierało szepcząc... "niech żyje Polska!".

Wraz z nami mieszkali tu także ludzie z innych polskich wsi: Łubianek, Dobromirki, Bogdanówki, Maksymówki oraz koloniści polscy z Wołynia. Byli również Ukraińcy, którzy pełnili w Polsce jakieś funkcje, np. leśników.

W powrotnej drodze do Polski przywieziono nas najpierw do Czerniatyna na Ukrainie (stacja kolejowa Sierbinówka, 20 km od Baru) i ulokowano w sowchozie. Mieszkania zapewniono u mieszkańców wsi. W czasie tej podróży "nawiał" z transportu Zdzicho Smoluk i spowodował szybszy powrót rodziny do Stryjówki.

Stanisław Tracz, zesłany wraz z żoną Stanisławą (z domu Harmatiuk)

wspomina:

"Nad ranem wszedł do naszego domu Rosjanin z bronią i mieszkaniec Stryjówki - Michał Sławuta. Rosjanin zachowywał się poprawnie, pomagał w pakowaniu i doradzał, co zabrać ze sobą. Gdy załadowano nas w Maksymówce do wagonu, Antoni Hołodniu - Ukrainiec i Karol Ciastoń - Polak, dowozili nam i Ignacemu Ciastoniowi żywność.

Relacja Janki Kraśnickiej (z d. Hołub):

"Wraz z uzbrojonym żołnierzem sowieckim weszli do naszego domu miejscowi Ukraińcy: Diduch i Dmytro Horyczun. Zabrali męża i brata, tylko w bieliznie, do zimnej, niewykończony jeszcze izby i trzymali tam dość długo, wypytując o broń i przynależność do organizacji.

Była u nas wówczas, bieda, w domu mieliśmy tylko 25 kg mąki. Nie miałam w co ubrać dzieci, a najmłodsza córeczka miała zaledwie trzy miesiące. Horyczun przywiózł z domu Marczaków koce, w które pozawijałam dzieci.

"Czekista" był bardzo zły, nie pozwalał niczego zabrać. Powiedział, że przesiedlają nas po to, byśmy nie przeszkadzali Ukraińcom.

Ówczesny "predsiedatiel" Maksymówki - Józef Nahaj (Baran) radził mi najmłodsze dziecko od razu wyrzucić w śnieg, bo - jak mówił - i tak żywego nie dowiozę.

Załadowano nas do wagonu w sześć rodzin: Szymańskich, Hołubów, Zawistowskich. Kraśnickich i dwie ukraińskie rodziny leśników z Łubianek.

Najgorsza była nasza całonocna droga saniami po zamrożonej Tawdzie. Po przybyciu na miejsce musiałam odrywać od ciała dzieci zamrożoną odzież.

Podczas tej podróży zetknęłam się z odruchem serca rosyjskiego konwojenta. Gdy siedziałam już z gromadką dzieci w samochodzie, podszedł do mnie, zdjął kozuch i podał mi go do okrycia dzieci.

Wobec dużej liczby osób nie pracujących w naszej rodzinie, cierpieliśmy głód. Mój mąż Sylwester pracował w tajdze, ja w chlewni, a dzieci przebywały w żłobku i przedszkolu. W 1941 roku zmarła z wycieńczenia moja Matka - Anastazja Hołub.

W 1944 r. zawiadomiono mnie, że przyszła dla dzieci paczka (wtedy już niekiedy otrzymywaliśmy przesyłki). Poszłam po nią pieszo 40 km do Taborów i tam ujrzałam wojskową czapkę z orzełkiem. Upadłam przed nią na kolana i rozplakałam się tak, że ledwie mnie uspokoił jej właściciel, porucznik. Paczki nie otrzymałam, powiedziano mi, że zaszła pomyłka, ale dowiedziałam się od porucznika, że będziemy mogli wrócić do Kraju. Później przyjechał po nas do Ozierek.

Płynęliśmy "barżą" po Tawdzie, śpiewając pieśni religijne i patriotyczne. Towarzyszył temu wielki płacz radości, że już wracamy.

Przywieziono nas najpierw do wsi Wejsbachówka w pow. Nieżyńsk, w obwodzie czernichowskim na Ukrainie. Osiedlono tu rodziny Stefana Hrycja, Iwana Kruka (Korka), Piotra Robaka, Ignacego Ciastonia i Szymańskich. Mieszkałam tam do późnej wiosny 1945 r. Wtedy przyjechała po nas Stasia

Robak (córka kościelnego "Pawłusia", zamordowanego przez banderowców 11 listopada 1943 r.). Podróż do nas ułatwił jej pracujący w b. majątku Małachowskich Rosjanin o nazwisku Szyjka, a od stacji kolejowej do "posiołka" doprowadził ją Żyd Rotterman, zesłaniec jak i my".

Warto dodać, że trzymiesięczna Wandzia, którą Ukrainiec radził wyrzucić do śniegu, była jednym z tych cudem ocalałych dzieci. Wróciła do Kraju i mieszka na Dolnym Śląsku.

Ze Stryjówki deportowano dwadzieścia kilka rodzin, nie licząc osób aresztowanych i powołanych bezprawnie do Armii Czerwonej. Żaden z tych ostatnich, nawet jeśli ocalał, nie spisał swych przeżyć. Wielka szkoda!

c.d.n.

Michał Chrobak

Pojechałem odnaleźć ... dzieciństwo

Przygotowywałem się do wyprawy na Podole niemal całą zimę. Rozważyłem wszystko co przemawiało za i przeciw, by w końcu postanowić, że jednak pojedę. Namówiłem na tę podróż kolegę, Józka Karoszewskiego - Kresowiaka z woj. tarnopolskiego oraz moją żonę, i 1 czerwca br. udaliśmy się samochodem w podróż.

Z Zamościa wyjechaliśmy przed godziną piątą rano i już o ósmej staliśmy przed katedrą we Lwowie. Po krótkim odpoczynku i zwiedzeniu Katedry ruszyliśmy w dalszą drogę.

W Zborowie skręciliśmy na Założce. Józek znający historię wydarzeń na tych terenach w latach 1943-1945, informował nas co wydarzyło się w poszczególnych miejscowościach. I tak dotarliśmy do jego rodzinnej wsi Chomy w pow. tarnopolskim.

W miejscu dawnej siedziby Jaroszewskich pozostała tylko studnia. Stała samotnie w ogrodzie pośród drzew, jakby wyznaczono jej rolę świadka historii ostatnich 55 lat. Kolega patrzył milcząc, a na jego twarzy malowała się smętna zaduma. Gdzieś tam głęboko, na dnie duszy, coś się działo... Nie chciałem przeszkadzać. Był przecież w miejscu, gdzie przed 70 niemal laty stawał pierwsze kroki, gdzie Matka uczyła go wymawiania pierwszych słów. Po chwili zaproponowałem, aby tak się ustawił, by w tle widoczna była studnia i zrobiłem mu zdjęcie. Niech ją zachowa na pamiątkę. Potem pojechaliśmy na miejscowy cmentarz, gdzie Józek zatrzymał się przy kilku grobach, wspominając pogrzebanych. W Zarudziu wysiadł, miał tu krewnych, a my - przez Ihrowicę, Płotycz, Białą i Tarnopol - ruszyliśmy do Nastasowa.

Zatrzymaliśmy się tu przy kościele i oczom naszym ukazała się ogromnie

zdeprawiona świątynia o zmienionym dachu. Dawny, stromy, pokryty był blachą, obecny bardziej spłaszczony, pokryto czymś w rodzaju eternitu. Przez 50 lat kościół pełnił funkcję magazynu zbożowego. Teraz stał pusty. Widząc kłódki u głównych drzwi wejściowych postanowiłem fotografować kościół z zewnątrz. Na jednym ze zdjęć widoczna jest wieża, a na niej zgięty krzyż - dowód, że usiłowano go usunąć. Istotnie założono kiedyś w tym celu na krzyż linę i uwiązano ją do traktora. Gdy traktor ruszył do przodu, lina się urwała a krzyż pochylił, ale nie spadł. Operacji tej już nie powtórzono i zgięty krzyż tkwi na wieży po dzień dzisiejszy.

Podeszło do nas dwóch małych chłopców z pytaniem, czy chcielibyśmy wejść do kościoła? Propozycję przyjęliśmy i przez małe boczne drzwi weszliśmy do zakrystii, i dalej do wnętrza. To, co ujrzałem, wprawiło mnie w osłupienie. Nie spodziewałem się takiego zniszczenia. W kierunku prezbiterium i w kierunku chóru - ten sam przykry widok: zerwana w wielu miejscach posadzka, odrapane i brudne ściany, a z bogatego niegdyś wyposażenia pozostał w kącie jedynie zdeprawowany konfesjonał.

Przez chwilę wzrok mój zatrzymał się na zachowanych w niezłym stanie balaskach. Oczywiście wyobraźni zobaczyłem mego wuja, Jana Cwynara, jak zamyka je i przykrywa białym płótnem, bo za chwilę uklękną przy nich wierni przystępujący do Komunii św. Jako tutejszy kościelny, wuj czynił to przez wiele lat w każdą niedzielę i święto. Ścisnęło mi się gardło wzruszeniem i potoczyła po policzku łza. Przecież to w tym kościele zostałem ochrzczony, tu Mama prowadziła mnie za rękę na niedzielne nabożeństwa, tu przystępowałem do pierwszej Komunii św.

Zacząłem fotografować puste prezbiterium, chór i sklepienie kościoła, na którym kiedyś widniały jeszcze malowane sceny i postacie świadczące, że kiedyś było tu pięknie. Niestety fotografie nie udały się. Zabite deskami okna dopuszczały za mało światła, a lampa błyskowa mego aparatu była za słaba aby rozjaśnić tak duże pomieszczenie.

Udaliśmy się na cmentarz. Po drodze fotografowałem plac, na którym stał przed wojną Dom Ludowy, mieszczący Kasę Stefczyka, salę widowiskową, mleczarnię i sklep "Kółka Rolniczego". Po Domu Ludowym nie zostało nawet śladu, a plac tak był zarośnięty krzakami, że trudno byłoby nawet domyślić się, iż stał tu kiedyś ładny budynek służący wiejskiej społeczności.

Na miejscowym cmentarzu nie sposób było przedrzeć się przez chaszczę. Wszedłszy w środek tych zarośli, znalazłem kilka bloków kamiennych po zdeprawowanych pomnikach. Po grobach nie upamiętnionych pomnikami nie został żaden ślad.

Wykonałem jeszcze zdjęcia dawnych siedzib pp. Szeremetów i pp. Głuchy, Leżących po drugiej stronie ulicy, po czym odjechaliśmy na Mariankę do mojej kuzynki.

Pierwszy dzień pobytu na Podolu dobiegł końca...

Od rodziny dowiedziałem się, że czynione są starania o odzyskanie i

remont kościoła w Nastasowie. Postanowiłem zasięgnąć kompetentnych informacji na ten temat u księdza proboszcza, w odległych o 7 km Mikulińcach.

W niedzielę 2 czerwca wypadał w Mikulińcach odpust. Pojechaliśmy tam na godzinę 11-tą, ale okazało się za wcześnie, ponieważ ksiądz odprawiał w tym czasie nabożeństwo w Ładyczynie, a potem jeszcze w Strusowie. Do Mikuliniec powrócił dopiero na godz. 13.30. Przyjął nas bardzo serdecznie w swoim skromnym pokoiku, który wynajmuje (odpłatnie) w pobliskim budynku zamieszkałym przez kilka rodzin. Proboszcz jest człowiekiem młodym i energicznym. Wysłuchał mnie z uwagą i zaproponował spotkanie następnego dnia przy kościele w Nastasowie.

Po rozmowie z księdzem udaliśmy się do świątyni. Usiedliśmy w krzesłach, bo ławek jeszcze nie ma, i oczekiwaliśmy w skupieniu na Mszę św.

Gdy w 1945 opuszczaliśmy Podole wydawało się, że nigdy już na tych ziemiach nie będzie rozbrzmiewała mowa polska, że nigdy w opuszczonych kościołach nie staną przy ołtarzu kapłani. A jednak!

Odezwała się sygnaturka i zabrzmiały organy elektryczne, obsługiwane przez siostrę zakonną. W tym samym czasie ukazała się w drzwiach zakrystii grupa ministrantów w białych komeżkach, a za nimi czterej kapłani w liturgicznych szatach - miejscowy proboszcz, księża z Trembowli i Tarnopola. Serce zatrzepotało, wzruszenie ścisnęło krtani, a po policzkach popłynęły ciepłe łzy, natychmiast zauważone przez uczestników nabożeństwa. Nie wstydziliśmy się tych łez. I nie spodziewaliśmy się takich przeżyć po 50 latach. Brakuje słów by opisać to, co czuliśmy ...

Nabożeństwo odprawiano w dwóch językach: polskim i ukraińskim. Polegało to na tym, że pewne fragmenty Mszy św. podano w obydwóch językach. Podobnie śpiewano pieśni - jedną po polsku, następną po ukraińsku. Homilia wygłoszona została w j. polskim, ogłoszenia parafialne w j. ukraińskim. Kapłan poinformował wiernych o mających odbyć się 6 czerwca uroczystościach w święto Bożego Ciała i wymienił nazwiska gospodarzy, w posesjach których ustawione zostaną ołtarze.

Zaczęto formować odpustową procesję, Kobiety ruszyły w stronę chorągwi, mężczyźni do baldachimu. W dwóch rzędach ustawiły się dziewczynki w białych sukienkach, w wianuszkach na głowie i z koszyczkami pełnymi kwieciami w ręku. Dwoiła się i troiła siostra zakonna Julia, która tym wszystkim dyrygowała. Po chwili procesja była gotowa. Pierwszy ruszył ku wyjściu mężczyzna z krzyżem, za nim pozostali. Rozległ się śpiew. Dziewczynki obficie sypały kwieciami. Odezwały się wszystkie (trzy) dzwony, zawieszane na nowowypudowanej dzwonnicy, oznajmiając miastu i światu, że kościół w Mikulińcach żyje!!!

Zakończył się drugi dzień naszego tu pobytu ...

Trzeciego dnia czekaliśmy niecierpliwie na umówione spotkanie z księdzem proboszczem. Ksiądz przedstawił mi swoją wizję kościoła po remoncie. Zwrócił się był do mieszkańców z prośbą o dawne fotografie lub

notatki prasowe, na podstawie których można byłoby ustalić jak wyglądało wewnątrz świątyni w okresie jej świetności. Wręczyłem księdzu "Historię cudownego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej w Nastasowie", napisanej w 1904 r. przez ks. Alojzego Fridricha, a otrzymaną od pp. Szeremetów z Nysy oraz artykuł "Madonny Kresowe" przekazane przez pp. Cwynarów z Korfantowa na Opolszczyźnie.

Z odzyskaniem tutejszego kościoła wiążą się jednak duże trudności. Miejscowe władze twierdzą, że jeśli oddadzą kościół to będą musiały oddać także plebanię, w której mieści się obecnie szpital miejski. Pozbawią zatem opieki medycznej nie tylko mieszkańców Nastasowa ale również sąsiednich wsi. Istnieje ponoć przepis mówiący, że wystarczy przedłożyć władzom 20 podpisów wiernych domagających się zwrotu kościoła. W Nastasowie zebrano już 53 podpisy...

Mam ogromny szacunek dla tego młodego proboszcza z Mikuliniec, który przybył tu spod Gdańska, za jego zaangażowanie i wytrwałość w pracy na tym niełatwym terenie. Życzę mu, aby starania jego uwieńczone zostały sukcesem.

Będąc w rodzinnych stronach nie sposób nie powrócić do najpiękniejszego okresu życia - dzieciństwa, które minęło właśnie w Nastasowie, odległym o 20 km od Tarnopola. Gdy 3 czerwca tam na przykościelnym placu sceny z dzieciństwa przemknęły przez moją pamięć jak jakiś dokumentalny film.

A najbardziej było mi żal .. Kolorowych odpustów, jakie odbywały się tu co roku w połowie lipca na Matki Boskiej Szkaplerznej.

Ostatni odpust przed II wojną światową... Byłem wówczas 11-letnim chłopcem. Dostałem od Mamy kieszonkowe, a było tego około 40 groszy. Ścisnąłem fortunę w garści i pogałem pędem na plac przed kościołem, cały spocony z przejęcia, gdzie rozłożyły się stragany z ogromną różnorodnością towaru. Krążyłem od straganu do straganu nie mogąc się zdecydować na kupno czegokolwiek. Zasadniczą rolę odgrywał tu budżet, którym dysponowałem. Podjąłem wreszcie decyzję: będzie to nożyk z czerwonym trzonkiem, tzw. żydek i gumowa piłka (którą później rozgrywaliśmy mecze na nadrzecznej łące). Biegłem z powrotem do domu ile tchu w piersi, a radość z dokonanych zakupów rozpierała moje serce. Wydawało mi się, że stopy moje nie dotykają ziemi, że u ramion wyrosły mi skrzydła, a moja Mama, która sfinansowała te zakupy, jest najwspanialszą Mamą na świecie.

Dziś jestem już starym, schorowanym człowiekiem, i jeśli mam coś ważnego do załatwienia - zapisuję na kartce, aby nie zapomnieć. Ale tego ostatniego odpustu i tego co przeżyłem w dzieciństwie, nie zapomnę do grobowej deski.

Niech zatem nikogo nie dziwi, że my - Kresowiaczy - nie potrafimy zapomnieć ani skąd pochodzimy, ani co przeżyliśmy na rodzinnej ziemi...

Wołodymyr Kubiw

Poszukiwanie korzeni (List z Ukrainy⁷)

"Drogi Stryjku! Rad jestem, że nie zapomnieliście o mnie, i bardzo Wam dziękuję za taki dobry list, za współczucie z powodu śmierci Ojca. Rad jestem również, że przysłaliście mi tak wiele informacji.

Bardzo się cieszę, że znalazłem - choć tak daleko - znakomitego krewnego (...) a także, że noszę to samo nazwisko.

(...) Książka przez Was napisana⁸ znaczy coś jednak w literaturze. Napisana prosto, nie tak jak piszą "zarozumiali" pisarze, i dlatego dobrze się ją czyta (...). Czytałem ją bez przerywania od razu do końca. To tak, jak bym się przeniósł w tamte czasy, jak bym chodził po Berezowicy Małej i przeżywał z Wami wszystkie opisane wydarzenia.

Podobała mi się recenzja książki p. Janusza Kowalewskiego⁹. Gdybym umiał dobrze pisać po polsku, napisałbym to samo co p. Kowalewski, ponieważ absolutnie tak samo oceniam Waszą publikację.

Celowym byłoby przetłumaczyć tę książkę na j. ukraiński. U nas, w Czerkasach mogliby ją wydać, bo tu banderowców nie lubią.

W pewnym okresie czasu było u nas wiele dyskusji, w radiu i prasie, na temat UPA, ale z odejściem p. Krawczuka z rezydencji prezydenckiej dyskusje się skończyły. Zgadzam się z Wami całkowicie, że należałoby usprawiedliwić się przed Polakami za sprzyjanie banderowcom. Niestety, taki teraz kryzys, i w ekonomice i w społeczeństwie - więc czy to dziś możliwe? Z drugiej strony trzeba by poczekać aż dojdą do władzy politycy o innych poglądach. Bo jeżeli przyjdą komuniści, jak u Was, to ten temat zostanie całkowicie zamknięty.

(...)Bardzo pragnę podtrzymać korespondencję z Wami. Tak wiele mam Wam jeszcze do opowiedzenia... A przy tym pozostałem sam po tej stronie i mam potrzebę odczuwać, że nie jestem samotny, że posiadam licznych bliskich krewnych.

Chciałbym poruszyć jeszcze jeden temat: po dziś dzień dziwię się, jak mój Ojciec mógł żyć wśród tego narodu. Ja urodziłem się tam i wyrosłem, a nie mogłem doczekać się chwili kiedy ukończę szkołę i będę mógł wyjechać. Dlaczego?

Kiedy byliśmy jeszcze "pacanami" i dochodziło między nami do bójek, dolatywały do mnie słowa: "Byj Lacha!", "Lach proklatyj!" - co było dla mnie

⁷ Oryginał listu w j. ukraińskim, podany tu został w tłumaczeniu I. Kotowicz.

⁸ Władysław Kubów: "Polacy i Ukraińcy w Berezowicy Małej koło Zbaraża". Autorska Spółka Wydawn. Aleksander, Warszawa 1994 r.

⁹ Janusz Kowalewski w: "Orzeł Biały", nr 1511/LV, Londyn, maj 1995 r. ss. 57-59.

boleśniejsze niż rozbity nos. W codziennym życiu nikt nie wypowiadał się wprost na temat pochodzenia mego Ojca, ani tym bardziej mego pochodzenia. Mama wprawdzie mawiała niekiedy w domu - "ty Polaku!" - a ja się tego bardzo wstydziałem, bo myślałem, że to coś nagannego. A do tego codzienna proza życia.

Mój szkolny kolega - co prawda dziś widzę, że w tamtym czasie był raczej rywalem niż towarzyszem, gdyż uczyliśmy się jednakowo dobrze ale ja byłem lepiej rozwinięty fizycznie i odnosiłem sukcesy w sporcie, z powodu czego był bardzo zazdrosny. Jego Ojciec był naszym nauczycielem i brał udział w wojnie. Mój natomiast był Polakiem i wywieziony został na roboty do Niemiec, co bardzo skrywaliśmy.

Ojciec mego kolegi lubił niekiedy złośliwie ukłuć na lekcji "szpilką".

Oto początek lekcji, gwar w klasie cichnie, nauczyciel historii otwiera dziennik klasowy. Nikt nie ma ochoty być wezwany do tablicy. A nauczyciel mówi - "do tablicy pójdzie....(przez chwilę szuka na liście nazwiska)... Jest u nas w klasie taki panicz.... Kubiw". - Mnie od razu czerwienieją uszy, bo wiem dlaczego tak powiedział, a tu jeszcze dziewczyna siedząca obok chichocze powtarzając: "panok! panok!". Czuję się fatalnie, ale idę do tablicy. Potem wszystko mija.

Wspomniany kolega ukończył szkołę ze srebrnym odznaczeniem, a mnie na świadectwie postawiono z j. ukraińskiego "czwórkę", chociaż egzamin maturalny zdałem na "piątkę". Postawiono mi także dwie "czwórki" z innych przedmiotów. (Pamiętam - że Matka płakała z tego powodu). A to po prostu było - jak obecnie wiem - polecenie partyjnego kierownictwa. W szkole dopuszczano do odznaczeń tylko tych uczniów, którzy byli "czyści" pod względem narodowości lub Ojciec ich brał udział w wojnie, względnie był członkiem partii. A ja "ne pidchodyw nijak".

Pamiętam jeszcze pewne komsomolskie zebranie szkolne. Byłem już młodzieńcem, chyba w IX klasie. Do szkoły przyszedł nowy nauczyciel historii. Pochodził z miejscowych, wszyscy, go dobrze znali, był rówieśnikiem mojej Mamy. W jakiś sposób ukończył zaoczne studia w Instytucie Pedagogicznym w Iwanofrankowsku (Stanisławowie) chociaż historii nie znał. (Wówczas historią był "Krótki kurs WKP(b)" napisany przez "ojca wszystkich narodów"). Nauczyciel był ponadto "partyzantem" i miał "zasługi dla ojczyzny" - zamordowali bowiem w nocy na plebanii księdza podczas okupacji niemieckiej. Nauczyciel ten wystąpił na zebraniu komsomolskim i "po partyjnemu", jak to było w ówczesnym zwyczaju, krytykował leni i chuliganów. Nagle usłyszałem: - "Należy wymieść starą miotłą z naszej szkoły takie polskie śmiecie jak ... Kubiw".

Grom z jasnego nieba! Wszyscy się na mnie oglądają, a mnie - jakby obuchem w głowę. Siedzący obok pytają: - "Za co?" - Pochyliam plecy, bo powodu nie było. Nie chuliganilem, a uczyłem się dobrze.

Teraz ten "pan" jest już na emeryturze. Gdy przyjeżdżam do Mamy i

spotykam go niekiedy przypadkowo, próbuje mi się kłaniać, ale ja go "nie poznaję".

Książki Wiktora Poliszczuka nie widziałem w księgarniach¹⁰, a gazeta "Czas" jest z pewnością tarnopolska.

Wybieram się teraz do Mamy i przygotuję dla Stryjka materiał. Życzę Wam dobrego zdrowia, byście mogli nadal prowadzić tę pożyteczną pracę.

Wołodymyr".



Powyższy tekst wymaga wyjaśniającego uzupełnienia.

Podaje je stryj Wołodymyra, adresat listu, i członek naszego Klubu "Podole" - Władysław Kubów. Oto ono:

Bronisław Kubów, ur. w 1924 r. w Berezowicy Małej k/Zbaraża, syn Franciszka - wywieziony został w czasie okupacji niemieckiej na roboty przymusowe do Niemiec. Tam poznał dziewczynę - Ukrainkę z pow. Śniatyn w województwie stanisławowskim. Po wojnie wrócił z dziewczyną do jej wsi, ponieważ oczekiwała dziecka.

Sytuacja była dla młodych niebezpieczna, szalał już terror banderowski.

"Hołowoju sylrady" był we wsi wuj dziewczyny i on znalazł "wyjście". Zniszczył dokumenty Bronisława Kubowa i "zrobił" z niego Ukraińca. Od tej chwili Bronisław nazywał się Roman Fedorowycz Kubiw.

Gdy w 1946 roku urodził się syn Bronisława, nadano mu imię Wołodymyr Romanowycz. We wsi jednak nic się nie da ukryć...

Resztę znajdą zainteresowani w przytoczonym liście Włodka, który przeżył wiele gorzkich chwil jako Polak. Później z tamtych okolic wyjechał, ukończył w Odessie studia inżynierskie, a teraz poszukuje swoich korzeni...

¹⁰ Mowa tu o książce "Gorzka prawda, zbrodnicość OUN-UPA".

SPIS TREŚCI

Marian HEMAR	
Nie nazwane święto	s. 1
Marian HEMAR	
Rocznica	s. 2
Stefan PETROWICZ	
Fragment "mojego" września 1939 r.	s. 6
Janusz KORZENIOWSKI	
Wrzesień 1939 roku widziany oczami 12-latka. Cz. I	s. 10
Józef K. PAYGERT	
Wspomnienia. Cz. VI.	s. 15
Irena ORNATOWSKA-ZDUNIAK	
Gdzie byłaś tak długo?	s. 21
Bolesław ŁUKASIEWICZ	
Wspomnienia ze Stryjówki. Cz. VI.	s. 23
Michał CHROBAK	
Pojechałem odnaleźć ... dzieciństwo	s. 29
Wołodymyr KUBIW	
Poszukiwanie korzeni	s. 33